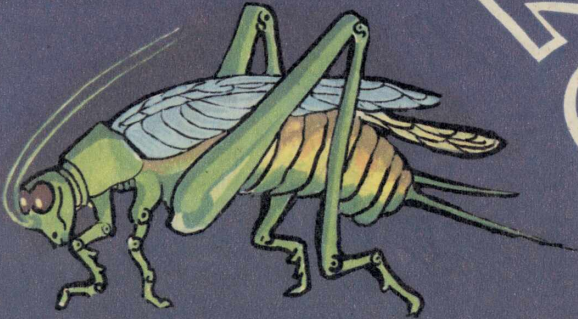


ŚWIERSZCZ



Napisał: Andrzej Urbańczyk

Ilustrował: Wł. Paweł Jabłoński

Cała historia to przecież jedna z nieskończonej liczby wersji samotnego człowieka w kosmosie. Nie sądzę, abym mógł was nią zainteresować. Po prostu spotkaliście emerytowanego astronautę i chcecie go naciągnąć na opowiadanie. Nie, nie dam się namówić...

Lepiej dajcie mi spokój. Popatrzcie na niebo. Gwiazdy świecą dziś tak jasno, jak w noc przed startem ARPEGE. Jesteście młodzi i przed wami jest wszystko. Natomiast dla mnie wszystko już minęło... Mam wprawdzie dopiero trzydzieści jeden lat, co każdemu kiedyś wydawało się wiekiem bardzo dojrzałym, zanim zrozumiał, jak bardzo jest to mało.

Od dwóch lat jestem na emeryturze i mogę robić, co mi się tylko podoba. Teraz usiadłem, aby przez kilka godzin patrzeć na niebo. Patrzcie! Robi się zupełnie ciemno i wciąż zapalają się nowe gwiazdy. Gwiazdy, których nazw uczyłem się na pamięć wraz z kolegami. Tak! Wielu z nich mknie teraz wśród nich śpiąc w cudownych statkach...

Dajcie mi spokój, nie mam chęci opowiadać. Robi się chłodno i pora wracać do domu...

Tak to prawda. To była głośna wyprawa i potem mówiono i pisano o niej przez miesiące. Mnie pozostał tylko niesmak. Niesmak, jaki daje widok witających cię ludzi, którzy nie mają już kogo witać...

Nie. Naprawdę nie mam ochoty opowiadać o mojej pierwszej i zarazem ostatniej wyprawie. ARPEGE zdołała wprawdzie zawrócić, ale z załogi ocalałem tylko ja. Ocalałem właściwie przez przypadek...

Czy istotnie domagacie się, abym wygrzebał z mroku zapomnienia obraz dni tak już odległych?...

Dajcie mi lepiej spokojnie podumać, nim chłód wygna mnie z parku...

Tak, to prawda. Byłem drugim pilotem. Dowódca Baler, stary wyga kosmosu, mógłby być moim ojcem. Trzeci z nas, Tchon, też był niewiele młodszy...

Przez pierwsze dwa miesiące lot był jednym ciągiem monotonności, nie licząc startu i wstępnych manewrów – te są zawsze emocją. Dzień za dniem, noc za nocą. Dobre i to! Gdyby nie ten sztuczny podział można by chyba oszaleć z nudów.

Gdy się to zdarzyło, spałem od kilku godzin, mocno i spokojnie: Zbudził mnie wstrząs i wibrujący huk. Niewiele zapamiętałem. Gdy odzyskałem przytomność, leżałem skurczony w rogu kajuty, czując, jak ciepła, lepka krew splywa mi po twarzy. Słyszałem, a raczej czułem, że ARPEGE rozlatuje się w kawałki. Ogarnął mnie lęk. Próbowałem wstać, ale

prawa noga ugięła się niespodziewanie w jakiś dziwny sposób pomiędzy kolanem a kostką i znów utraciłem przytomność. Nie wiem, jak długo to trwało. Gdy powracały mi siły, wołałem towarzyszy pełnym strachu, matowym głosem. Czołgałem się po kajucie, nie mogąc sięgnąć do słuchawki telefonu wiszącej zbyt wysoko.

Gdy znów odzyskałem przytomność, domyślając się, że jest to właśnie owa ostatnia, pełna jasności myśli przytomność poprzedzająca śmierć, przypomniałem sobie to, co jest dla każdego astronauty instrukcją numer jeden i co każdy marzący o gwiazdach chłopak wypisuje sobie nad łóżkiem na długo przedtem, zanim wymusi na rodzicach pozwolenie pójścia do szkoły pilotów: Zrób wszystko, co w twojej możliwości, dla ratowania statku! Od jego sprawności zależy twoje życie. Potem zajmij się sobą. Pozostawało mi to ostatnie. Aby nie utracić reszty krwi, zacisnąłem nogę, powyżej rany. Posługując się pasem, podciągnąłem się na wysokość luku, niemal do pionowej pozycji; otworzyłem pokrywę i wbiwszy się zębami i palcami wyszarpałem skafander padając na plecy.

Nie pamiętam szczegółów. Udało mi się wcisnąć w nogawkę to, co jeszcze niedawno było moją nogą. Pomagając sobie pasem, raczej na rękach idąc, powlokłem się przez zdezastowany korytarz ku centrali. Rzuciłem się, a właściwie upadłem na fotel.

Minęło kilka chwil, zanim mogłem spojrzeć na ekran. Przede mną błyskał napis AWARIA. Doznałem uczucia ulgi, system nadzoru działał. Ukryty w najbezpieczniejszym miejscu statku miliard elektronowych komórek pracował – badał, przeliczał, radził, polecał...

Zażądałem szczegółów. Tak jak przypuszczałem od początku, eksplodowało paliwo – zdarzają się takie rzeczy. Przyczyny, jak wiecie, nie udało się ustalić nigdy.

Nie wiem, skąd mi się brały siły. Każdy ruch wydawał się ostatnim, a jednak zawsze przychodził po nim następny...

Jak wiecie, obaj moi towarzysze nie żyli. Dowódcę i pierwszego pilota eksplozja dosłownie wymiotła ze statku. Pamiętam makabryczny widok rąk, a raczej dłoni pilota zacis-

niętych na metalowym uchwycie w sterowni. Tuż obok poszarpanych kikutów otwierał się ogromny, z poskręcany krawędziami otwór, potem studnia bez dna – niebo z wolno wirującymi gwiazdami.

Powrót na Ziemię wydawał mi się wtedy czymś odległym, nierealnym i zgoła nieistotnym. Przetrawanie, zanim nadejdzie ratunek – nonsensem. Myślałem, że wołałbym, abym zginął wraz z nimi. Była to myśl zupełnie naturalna. Tak myślę nawet teraz z perspektywy czasu. Ta słabość natury – chyba jedyna wada człowieka na międzygwiazdnych szlakach – rozpuszcza się jednak łatwo w różnych medykamentach...

„Ten, który myśli o wszystkim”, jak nazywają elektronowy kalkulator astronauty, nie znał jednak zwątpienia. Podczas gdy marnowałem czas na rozważania natury moralnej, on nieugięcie liczył, badał, kalkulował. Wysłane przez niego automaty, metalowe kraby o setce wymiennych kończyn, już obsiadły poszarpane krawędzie blach tnąc, prostując i spawając.

W jego przepastnym wnętrzu już przeliczały się najekonomiczniejsze manewry, szanse ocalenia. W odruchu goryczy pomyślałem, że to nierozsądne, aby tak trudzić się nad uratowaniem na wpół żywego człowieka w odległości miliardów kilometrów od Ziemi...

Mimo to zrobiłem jeszcze jeden wysiłek – może podzielał tu nawyk posłuszeństwa – dowlokłem się do ambulatorium i otepiały z bólu położyłem na niski stół. Wszystko miałem już poza sobą...

Z góry, jakby z daleka, z bardzo daleka rozległ się miękki niski głos: „Zaufaj mi, pilocie, wszystko na pewno będzie dobrze. Boli?” – zapytał. „Nie, nie boli” – skłamałem. „Powiedz, że boli – poprosił. – Tak trzeba”.

„Boli. Bardzo mnie boli” – powiedziałem. „To dobrze. To znaczy, że dobrze”.

Poczułem jeszcze, jak opada ze mnie rozczinany kombinezon, jak mocne chwytły obejmują przeguby dłoni, jak coś ciepłego (transfuzja?) sączy się w żyły. Słyszałem jeszcze życzenie dobrego snu. Przestałem myśleć...

Wylizałem się z tego, chociaż, jak widzicie, noga nie jest całkiem sprawna. Ale to przecież nie z nią było źle.

Ten, który czuwał nad wszystkim, kalkulator, ma na podobieństwo hinduskiego boga Siwy tysiąc rąk. Jedne potrafią trzymać palnik do spawania, inne cyrkle, inne narzędzia chirurgiczne. Leżałem doba za dobą pielęgnowany przez automaty. Ale mimo iż wszystko goiło się prawidłowo, czułem się coraz gorzej. Brakowało mi sił do życia, dręczyła myśl, czemu los mnie właśnie oszczędził. Myśl ta zamieniała się zaraz w dokuczliwe pytanie, czy istotnie mnie oszczędził, a nie właśnie ich? Bezustannie roztrząsałem, czy ma sens wlec się przez dwa lata na Ziemię, by odwlec śmierć o tych kilkadziesiąt bezradnych lat z inwalidzką rentą.

Trulem się myślami, dręczyłem i było mi coraz gorzej. Na darmo ten, który myśli o wszystkim, aplikował najskuteczniejsze ponoć leki, podsuwał stare i nowe książki, namawiał na rozrywki. Leżałem niemal nie jedząc, spędzając bezsenne, męczące noce lub, co gorsza, trapiiony złymi, natrętnymi snami odganiałem od siebie, gdy obezwładniały mnie środki nasenne, wciąż powracający motyw ślepego dziecka ze zdechłym kretem i pękiem kluczy.

Kiedyś, dnia podobnego do innych jak dwa ogniwa w baterii, rano, zaraz po obudzeniu, zmęczony i rozdrażniony, doznałem niespodziewanego, kojącego przyływu świadomości: Umrę! Nie, nie przerwę łańcucha monotonii. Tego nie należało się spodziewać po absoluwencji akademii astronautycznej. Po prostu usnę tak, jak usypiają na zimę nasiona kwiatów. Rozpłynę się w nicość. Stopię w jedność z otaczającą mnie pustką...

Leżałem spokojnie nie odpowiadając na jego pytania. Dopiero w południe wypowiedziałem starannie wyważone słowa: „Nie przysyłaj mi jedzenia, nie będę więcej jadł. Nie będę też rozmawiał”. Robot skłonił się i z nieodgadnionym uśmiechem odniósł porcelanową zastawę balansując tacą.

Leżałem i byłem zupełnie obojętny na wszystko.

Przed nocą wyłączyłem muzykę.

Myśli moje oddalały się coraz bardziej od spraw realnych. Czulem, że oddech powoli zaczyna stawać się głębszy. Byłem jak pływak

zanurzający się coraz bardziej w zdradliwą toń.

Nagle usłyszałem głośno i wyraźnie: ćwir, ćwir... ćwir, ćwir.

Podniosłem głowę nasłuchując.

Ćwir, ćwir, ćwir – zupełnie jak polny świerszcz. Co to mogło być? Ćwir, ćwir, ćwir...

Pomyślałem, że obojętne, co to może być (najprawdopodobniej kawitacja w rurociągach), nic mnie to już nie obchodzi.

Ćwir, ćwir...

Zawładnęła mną złość. Pustym, jak gdyby nie swoim głosem zawylem wyrwaną z lamusa pamięci ludową śpiewkę:

„Ćwir, ćwir, ćwir za kominem, tańczy Mazur ze swym synem,

A Mazurka ze swą córką, wyglądają jedną dziurką”.

Ćwir, ćwir... ćwir, ćwir – dobiegło zza bakisty.

„UUUUUUUUUU – zawylem z całych sił. – Świat jest głupi. AAAAAAAAAA OOOOOO-OO AAAAAAAAA. Jestem głupi. Jestem kaleką. Jestem szpetny. AAAAAAAAAAAAAA!”

Ćwir, ćwir, ćwir – rozległo się jak gdyby w odpowiedzi.

Chciałem zeskoczyć z koi, ale pas zatrzymał mnie stanowczo i boleśnie. „Kalkulator!” – ryknąłem.

„Słucham” – odpowiedział spokojnie głosnik. Głos ludzki otrzeźwił mnie. Poczulem, że się rumienię. „Przepraszam” – wyjąkałem. „Nie masz za co przepraszać”. – „No, no – jąkałem się. – Za to wycie i głupie gadanie...” – „To mnie nie interesuje”.

Sprężyłem się ze wściekłości. Nie interesuje go! Poczciwiec elektronowy. Geniusz pokładowy o bebechach z płynnym helem! Nie obchodzi go! Psycholog kosmiczny! Wiedziałem, że za wszelką cenę chciał mnie zawsze prowokować do zwierzeń. Do naturalnych, niekontrolowanych odruchów. Takie wycie i brednie to przecież arcykasek dla psychoanalityka. Najpierw wnioski, potem analiza i wreszcie skuteczna terapia. Drutobałwan! Kretyn tranzystorowy. Pielęgniarka na tranzystorach. Bałwan druciany! „YYYYYYYYYYYY EEEEE-EEE Beeeeee Beeeeee! Jestem baran. Baran o krótkich rogach. Beeeeee Beeeeee” – darłem



się z całej mocy. „Beeee Beee. Jestem baran. Żywię się mlekiem i daję zieloną trawę”. „Mówiłeś coś?” – zapytał.

Tego było za dużo. Zapragnąłem obrzucić go gradem obelg. Zazwyczaj potrafiłem przebrać miarę i wtedy oświadczałem, iż zapominam się, i że go to obraża. Miałbym wtedy na godzinę spokój. Zbierałem właśnie co lepsze perełki zasłyszane od starszych pilotów, gdy nagle:

Ćwir, ćwir, ćwir... ćwir, ćwir.

Odrzuciłem moje perły i odezwałem się spokojnie:

„Czy nie mógłbym wstać?”

„Nie, dopiero za kilka dni”.

„Czy nie mógłbym wstać? – powtórzyłem. – Bardzo proszę. Ogromnie mi na tym zależy”.

„Jeśli ci tak mocno zależy, to możesz. Poruszaj się ostrożnie”.

W tej samej chwili pas rozpiął się. Zwlokłem się pierwszy raz od dwóch miesięcy i, podkur-

czając prawą nogę, do której zdawał mi się wlewać wrzątek, ruszyłem przed siebie.

Ćwir, ćwir, ćwir...

W kącie, w samym rogu kajuty, tak jak to sobie od pierwszej chwili wyobrażałem, siedział strosząc się duży, szarozielony świerszcz. Czarne ślepka patrzyły bacznie i ostro. Wyciągnąłem rękę. Momentalnie, jak sprężyna odskoczył na bezpieczną, jak mu się zapewne wydawało, odległość. Znowu ćwierknął kilkakrotnie, żwawo i swojsko.

Nie potrafię wam tego powiedzieć, jak mocne było moje wzruszenie. Małeńki okruch życia wśród nieskończoności i mechanizmów. Gaworzący owad – jedyna prawdziwa rzecz pomiędzy blachami, śrubami, rurami, kablami... Jedyny towarzysz w promieniu miliardów kilometrów. Iskierka życia, wspomnienie mazowieckich pól, po których biegałem, zanim nie zagarnęły mnie na całe lata różne miasta.

Dni powrotu przestały być torturą, otepiałym kołowrotem. Myśl, aby umrzeć, nie potworzyła się nigdy. Nie trzeba było mnie namawiać do jedzenia. Wcinaliśmy obaj ochotczo. Ułożyłem plan codziennych zajęć. Pracowałem w centrali, zajmowałem się sprzątaniami i porządkowaniem pomieszczeń (uważam, że automaty nie potrafią należycie sprzątać), a ponad wszystko przyglądałem się świerszczowi. Po kilku dniach był już zupełnie oswojony, więc karmiłem go z ręki, patrząc, jak chciałoby się powiedzieć, „z namaszczeniem”, konsumuje okruchy, miarowo otwierając pyszczek. Posługując się łupą, całymi godzinami oglądałem go i podziwiałem doskonałość anatomii – delikatne łuski u nasady nóg, szczerlnie spasowane pokrywy, delikatne i bezustannie aktywne czułki...

Zaprzagnąłem obdarzyć go modrzewiowym domkiem. Przez kilka dni majstrowałem siedząc nad stosem listew, które na moje życzenie wyprodukował ten, który wszystko potrafi i na wszystko ma receptę. W rezultacie powstał nie domek, ale pałac, w którym świerszcz z wyraźną ochotą zagościł.

Nieraz nocą, gdy wszystkie światła były wygaszone, wsłuchiwałem się w jego ćwir, ćwir, zanim zasnął (spął w głębokim przysiadzie – stwierdziłem to za pomocą noktowizora). Ta muzyka, żywa muzyka nie mogła się, nigdy znudzić.

Tak mijały dni, tygodnie, miesiące. Czytałem biuletyny streszczeń nadawane dla astronautów, klnąc sterty nagromadzone w okresie mojej apatii. Grałem w szachy z kalkulatorem i, ku mojej radości, zazwyczaj wygrywałem. Oczywiście miał programowo dostosowane możliwości logiczne do poziomu moich umiejętności szachowych. Albo w nieskończoność przypatrywałem się świerszczowi, jak spacerował po krawędzi stołu lub, przykucnąwszy na wnącę iluminatora, gwarzył, tak to nazywałem, z kosmosem.

Tysiąc razy myślałem, jak mógł dostać się do wnętrza statku. Podczas budowy? Wykluczone. Przy wyposażaniu? Może wraz z żywnością lub sprzętem? Nonsens. Z rzeczami osobistymi? A może potajemnie przemycił go dowódca?

Przypominały mi się wszystkie gadki o zwierzętach, które nagle pojawiły się na statkach. O owych parach wróbla z gniazdkiem miłosnym, uwitym w komputerze kursowym, o roju os mieszkających w reaktorze, o papużkach, a nawet psach czy kotach. Wszystko to były jednak bajki kosmosu fabrykowane dla nowicjuszy.

Jedyny przypadek, że pilot przysięgał, iż widział podczas lotu dwa tupiące jeże, których w żaden sposób nie udało się mu schwytać, miał miejsce kilkanaście lat temu. Ów przypadek staje się jasny, jeśli dodam, że biedak – Hohn z transportowca – po powrocie na Ziemię też wszędzie dostrzegał jeże...

Koniec końców pojawienie się świerszcza było tajemnicą bez szans wyjaśnienia.

Pokochałem go nad wszystkie stworzenia. Może nawet ponad wszystko, jako że będąc pilotem nie miałem niczego zbyt wiele. Kilka razy myślałem, że kiedy powrócę i komisja lekarska oficjalnie zabierze mnie z gwiazdnych szlaków, wiele świerszczy będzie muzykować wokół mego domu. Świadomość ta była mi krzepiącą pociechą.

Świerszcz okazał się bardzo pojętny. Nauczył się ćwierkać takty z moich ulubionych piosenek. Wiedział, gdzie mu chodzić nie wolno – musiałem się przecież troszczyć, aby nie wchłonął go odkurzacz lub nie uśmiercił sterylizator. Miał też swoje pudełko z piaskiem – w rzeczywistości był to sproszkowany galalit.

Tak mijały, jak powiedziałem, dni i miesiące. Niestety zdarzyło się dosłownie ostatniego dnia lotu. Miałem już za sobą wszystkie manewry i ARPEGE siedziała pewnie na niskiej orbicie. Pozostało już tylko czekać, aż podejdzie i zabierze mnie od dawna krążący lądownik. Pakowałem sprzęt osobisty, robiłem ostatnie porządki, dla świerszcza miałem specjalny „pójemnik” – puszkę po keksach z wyciętymi otworami, wyścieloną watą, aby mały astronauta nie odczuł zbytbytno lądowania. Potem nie było już nic do roboty. Niestety nastąpiło, gdy mając jeszcze dużo czasu, zacząłem się ubierać. Wciągnąłem już skafander i mocowałem się nie mogąc założyć prawego ochronnego buta. Okaleczona noga bolała

mnie okropnie, a uparłem się lądować w pełnym ekwipunku, że to niby jestem taki chwat, pilot, a nie rozbitek. Szarpiać się, przeklinając z bólu uporałem się nareszcie z butem i zdyszany, rzuciłem na koję. Coś chrupnęło lekko, ale wyraźnie, i w tym momencie radosny ćwierkot jakim od rana, jakby przeczuwając lądowanie, darzył mnie świerszcz – nagle ustał...

Ze ściśniętym sercem, najdelikatniej jak można, uniosłem się na łokciu i piętach. Wstałem.

Był martwy. Spod pękniętej, delikatnej pokrywy odwłoka sączyła się cieniutka strużka ciemnej cieczy. Skrzydła wygięte były w geście niemocy. Stałem jak przy łożu martwego przyjaciela. I nie wstydę się powiedzieć wam, że zwilgotniały mi oczy...

Wzięłem do ręki martwego świerszcza i, patrząc nań pełnym bólu spojrzeniem, zrozumiałem. Najpierw dostrzegłem tylko krótki, zgięty drucik wystający z za muskularnej kończyny. Wystarczył jeden ruch palca, a na dłoń wysypywać zaczęły się jakieś miniaturowe dźwignie, kilka, jak się domyśliłem, tranzystorów, małe kulki scalonych obwodów i cały bezlik części o zawilej budowie...

Tak, to była imitacja. Genialna imitacja żywego owada. Absolutna doskonałość, mogąca oszukać najwytrawniejszego biologa. Było to najwspanialsze arcydzieło dorównujące

rangą swemu konstruktorowi. Najskuteczniejszy lek, jaki dla skolatanego katastrofą i samotnością człowieka mógł wyprodukować w swoich czeluściach ten, który o wszystkim wie i wszystko potrafi...

* * *

Pilot wstał. Rozprostował zgięte plecy i wyciągnął ramiona.

– Dobranoc – powiedział. – Wyciągnęliście jednak ze mnie tę opowieść. Nie dziękujcie mi, to ja powinienem wam podziękować. Przez tę godzinę znowu byłem astronautą. Przez tych kilkadziesiąt minut zapomniałem o kalectwie. To czasem jest potrzebne...

Było cicho, tylko z oddali dolatywał skrzyp zwirow na ścieżce.

– Ale nie myślmy o sprawach smutnych! Zwłaszcza wy, młodzi – powiedział. – Aby pójść spać w dobrym nastroju, pomyślcie, że wypadek ten został bardzo szczegółowo zbadany i przeanalizowany. Specjaliści radzili, dyskutowali, aż w końcu... – zawiesił odpowiedź, chcąc, aby dali ją słuchacze, ale minęła chwila i nikt się nie odezwał.

– Aż w końcu... aż w końcu postanowili, że na każdym statku kosmicznym... że na każdym statku kosmicznym muszą być jakieś zwierzęta!

